

Kłapkowski, Władysław

Śp. ks. Dr Henryk Likowski : prof.
Historji Kościoła w Polsce w Uniw.
Warsz.

Przegląd Historyczny 30/2, 527-529

1932-1933

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

KRONIKA.

KS. DR. WL. KLAPKOWSKI.

S. P. KS. DR. HENRYK LIKOWSKI.¹⁾

Prof. Historji Kościoła w Polsce w Uniw. Warsz.

Żałobni Słuchacze!

W dniu dzisiejszym żegna z żalem nauka polska wybitnego uczonego, Uniwersytet Warszawski swego profesora, Wydział Teol. Katol. specjalistę historii Kościoła w Polsce, a jego uczniowie, w imieniu których przypadł mi zaszczyt przemówienia w tej smutnej uroczystości, swego profesora i przyjaciela.

Ś. p. ks. prof. Likowski, obejmując w r. 1927 katedrę Historji Kościoła w Polsce na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego, zrozumiał ciężar obowiązku, jaki wziął na swe barki z tym wielkim zaszczytem. Rzadko bowiem spotkać można dziedzinę wiedzy tak zaniedbaną, jak historia naszego polskiego kościoła. Stan jest tem gorszy, że nie tylko całe okresy leżą do dziś przywalone gruzami przeszłości, lecz i brak nam ludzi, którzyby wielką przeszłość dziejów kościelnych opracować chcieli i umieli. Historyków kościelnych u nas na palcach jednej ręki zliczyć by można. Jest to pustkowie, które trzeba nagwałt zaludnić. Ratunek mógł przyjść tylko od Warszawy. Wydziały teologiczne innych uniwersytetów, pracując z młodzieżą duchowną po skończeniu szkoły średniej, w szerokim programie nauk teologicznych, nie były i nie będą w stanie położyć nacisku na wyszkolenie naukowe swoich uczniów: W szczęśliwszem położeniu znalazł się wydział warszawski. Tu przychodzą młodzi księża z ukończoną już teologią i główny nacisk skierowany jest na specjalizację. Dlatego też, gdy uniwersytet lwowski zrobił propozycję ś. p. Ks. Likowskiemu, w chwili, gdy był tylko zastępcą profesora, objęcia tam katedry w wyższym stopniu, a następnie takąż ofertę otrzymał ze strony ustępującego w Krakowie Ks. Fijałka, w obydwóch wypadkach odmówił, wiedząc, że tam będzie miał więcej słuchaczy, ale trudno będzie o uczniów.

¹⁾ Mowa pogrzebowa wygłoszona nad mogiłą zmarłego 22 marca 1922 r.

W ćwiczeniach seminaryjnych głównie dążył do nauczania pracy naukowej. Ani jednego posiedzenia nie było, na któremby nie poruszono tego zagadnienia. A kiedy po trzygodzinnem posiedzeniu zakładał palto i grubą łaskę brał do ręki, otaczali go znowu uczniowie, zadając różnego rodzaju pytania związane z tematem pracy. Dawał wyjaśnienia chętnie, mówił dużo i interesująco, z pytań się cieszył, a kiedy liczba ich się powiększała, jeszcze raz siadał, zapalił papierosa i tak czasami upływały godziny. Poza wykładami i ćwiczeniami gromadził chętnie u siebie w domu. Paulina przynosiła herbatę i cieszył się, kiedy, w atmosferze pełnej swobody, ścierał się ze sobą młody świat historyczny.

Ideą jego przewodnią było wyrobić w uczniach, obok umiejętności pracowania naukowego, zamiłowanie do prawdy, prawdy, która w historii Kościoła dla uczucia może być czasami bardzo bolesną, lecz „magis amica veritas“. Najgorszym historykiem kościelnym — mawiał — jest ten, który chce być apologetą, a najlepszym apologetą jest historyk, kiedy mówi prawdę, bo „veritas semper vincit“. Często powtarzał słowa wielkiego papieża Leona XIII wyrzeczone przy udostępnianiu archiwów watykańskich dla całego świata naukowego: „Kościół prawdy się nie boi. Kłamie nie tylko ten historyk, który mówi nieprawdę, lecz i ten, który prawdę przemilcza“.

Nic też dziwnego, że tchnął w uczniów swoich niesłychany zapach. Miał ich z różnych stron Polski, z różnych diecezji: Warszawa, Pelplin, Włocławek, Łódź, Kielce, Sandomierz, Katowice, Przemyśl, Lwów, Łomża. Byli księża nie tylko łacińskiego, lecz i wschodniego obrządku, nie tylko świeccy, lecz i zakonnicy. Liczbowo zdaje się nie liczni; przeciętnie 15-tu było w jego seminarjum. Zaludnili oni jednak archiwum nie tylko miejscowe, lecz i prowincjonalne, nie tylko krajowe, lecz i zagraniczne. Pracowali w Królewcu, Wiedniu, Pradze, a nawet w watykańskim w Rzymie. Gdzie tylko mógł, przez swoje szerokie znajomości w świecie naukowym, dostęp do źródeł i pobyt im ułatwiał. Miłował wiedzę całą duszą, ale nie był o nią zazdrosny i nawet swojemu ekscerptarui z archiwów bardzo chętnie służył. Kiedy życie rozdzielalo go od uczniów, tęsknił za nimi i w stałej pozostawał z nimi korespondencji. Bliżsi jego uczniowie często, czasami dwa, a nawet trzy listy tygodniowo od niego otrzymywali. Gdy zaś już pisać nie mógł, bo fatalny stan wzroku już od czerwca ubiegłego roku na to mu nie pozwalał, dyktował je, lecz i wtenczas nie były one rzadsze, a troska o uczniów w nich się przebiegała. Oto kilka wyjątków z jego listów pisanych podczas ostatnich wakacyj z Czarnieckiej Góry, gdzie mówi o uczniach: 2-go sierpnia: „choroba to przewlekła i muszę się liczyć z możliwością przebywania w jakimś sanatorium podmiejskiem. Gdybym nie mógł rozpoczynać wykładów, uczniowie musieliby wtenczas przyjeżdżać regularnie do mnie, żeby nie tracić czasu...“. 11-go września: „Życzeniem mojem jest, abym mógł wykłady rozpocząć regularnie, aby uczniowie nie tracili czasu...“. 12-go paźdz.: „...Pokój zamówić u Elżbietanek taki, bym mógł tam przyjmować uczniów... Cieszę się, że nareszcie wracam do Warszawy i będę miał możność konferowania z uczniami“.

W chorobie oni osładzali mu jego cierpienia, gdy przychodzili go odwiedzać lub w sprawach naukowych o coś zapytać. Gdy, leżąc w lecznicy Sióstr Elżbietanek, otrzymał dwie doktorskie prace swych uczniów,

nie odłożył egzaminu na później, chociaż w powrót do zdrowia nie wątpił, ale egzaminował ich u siebie w szpitalu, a potem, choć mu lekarze odradzali, wyjechał na uniwersytet, by ich promować. Prawie na każdym stopniu odpoczywał, wchodząc na piętro, bo duszność wielka go męczyła, ubrał się po raz ostatni w togę i dokonał promocji. Wielką mam radość w tej chorobie — mówił do ks. prał. Nowakowskiego w styczniu — znowu jeden uczeń napisał dobrą pracę, a nie liczyłem, że tak świetnie zrobi. Na początku lutego wszyscy prawie wiedzieli, iż stan choroby jest beznadziejny. Dowiedział się o tem sam chory i 8-go lutego, na jego kategoryczne pytanie, powiedział mu p. doktor Bratkowski całą prawdę, jak mu nakazywało jego lekarskie sumienie, iż stoją wobec jego choroby jako żołnierze na straconym posterunku. We wtorek następnego dnia miał miejsce fakt, który zdarzył się chyba w dziejach nauki po raz pierwszy, i prawdopodobnie więcej się nie powtórzy. W najwyższym rozpasaniu choroby, cały nabrzmiały wodą, ten, który wczoraj otrzymał taką odpowiedź o stanie swej choroby, nie ulega depresji, ale w łóżku przyjmuje doktorski egzamin swego ucznia. Żadne perswazje tu nie pomogły, on w tych chwilach zapominał o cierpieniach.

Czyż więc dziwić kogoś będzie, że był kochany, szanowany i wielbiony? „Mistrzem“ myśmy go nazywali i nic chyba nie charakteryzuje tak dobrze stosunku uczniów do profesora, jak ten przydomek.

Owoce miał już wielkie, na większe czekał. Od r. 1927 do tej chwili promował sześciu swych uczniów na doktorów teologii. Myślał o wydawnictwie ich prac, w chorobie obmyślał techniczną stronę wydawnictwa, a gdy na P. Narodzenie odwiedził go J. Em. ks. kard. Kakowski z nim ostatnio tę sprawę omawiał. We czwartek 17 marca, w wigilję śmierci przeczytałem mu list z wiadomością o mającej nastąpić publikacji jego ucznia. Ożywił się, oczy mu się zaśmiały, była to ostatnia radość w tem życiu. Za chwilę stracił przytomność.

Umarł w dzień M. B. Bolesnej, w wigilję św. Józefa, patrona dobrej śmierci, zaopatrzony śś. Sakramentami przed dwoma tygodniami przez ks. Wajsmiana, rektora konwiktu teologicznego. Umarł na rękach dwóch swoich największych przyjaciół: Ks. Dra Przygodzkiego, swego pierwszego ucznia, który go w czasie choroby na krok nie odstępował i niebo i ziemię poruszał, by Mistrza ratować i p. Dra Rygla, dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, który go codziennie odwiedzał. O 7-ej wieczorem, w chwili gdy p. Rygel drugą łyżkę stawy mu podawał, stanęło choremu serce na zawsze.

Mistrzu! Ty nas opuściłeś, straciliśmy z tobą nauczyciela i przyjaciela, lecz zasady, dla których pracowałeś, nie umarły, one żyją w nas. Nad mogiłą twoją oświadczamy, że dewiza twoja, iż historyk ma służyć prawdzie, a przez nią Bogu, który jest samą prawdą, będzie nam przyświecać zawsze w naszej pracy historycznej.